

Nazywam się Zofia Kocowicz. Urodziłam się 14 VI 1925 r. w Czortkowie, w rodzinie inteligenckiej. Mój ojciec-Julian, po skończonym seminarium nauczycielskim pracował w sądzie okręgowym jako urzędnik kasy i sekretariatu. Moja matka-Genowefa była nauczycielką, ale po wyjściu za mąż nie pracowała. W 1939 r. chodziłam do szkoły, miałam ukończoną II klasę gimnazjum, należałam także do harcerstwa. W Czortkowie mieszkaliśmy we własnym domu przy ul. Szkolnej II.

Gdy wybuchła wojna w 1939 r. prosili dziewczęta, żeby przychodziły szyć maski przeciwgazowe. Były naloty-gdy słyhać było syreny uciekało się od szkoły. 17 IX byłam świadkiem, jak nad nami biły się samoloty niemieckie, polskie i ruskie. Jak był ten nalot, uciekliśmy z domu nad rzekę, w łoży i tam siedzieliśmy. Była straszna strzelanina. W pewnym momencie to ucichło, zabieramy się do domu i nagle ktoś nam mówi, że do nas idą Ruscy. My zdziwieni: "Jak, z jakiego tytułu? Niemcy- to może, ale nie Ruscy-to niemożliwe".

Stało się możliwe. W pół do jedenastej wkroczyli do Czortkowa. Ja ich wkroczenia nie widziałam, bo byłam w domu, ale jak opowiadali inni generał-dowódca pierwszego wojska wyjął rewolwer i wystrzelił na znak, że wzięł miasto w posiadanie. Moja koleżanka widziała to wojsko-Mongołowie na konikach, zamiast siodła jakieś poduszki.

Biedni Żydzi, którzy sprzyjali komunizmowi od razu założyli czerwone opaski, karabiny i lecieli do miasta. Ukraińcy nie byli zadowoleni, oni byli zadowoleni, jak Niemcy przyszli.

Mój ojciec nie wrócił do pracy w sądzie. Gdyby się tam bardzo pchał, to by go szybko wywieźli na Sybir, a tak zostaliśmy. Poszedł więc do szkoły tzw. agrozawod- szkoły rolniczej, którą Ruscy utworzyli. Tam coś budowali i ojciec nosił ciężki na plecach, żeby utrzymać dwoje dzieci i żonę.

Ja poszłam do szkoły. Ponieważ skończyłam drugą gimnazjalną, poszłam więc do ósmej klasy. Z powrotem więc poszłam do szkoły powszechnej.

Wśród nauczycieli było już więcej Ukraińców.

17 IX mój wujek cioteczny Słupek, który był w KOPie, gdy się dowiedział, że ruskie wojska wkraczają, zdążył zabrać 16-letniego syna Staszka i uciec przez Zaleszczyki. Nie chwycili go, za to jego żonę Marię i córkę Bożenę wywieźli na Sybir.

Spośród moich krewnych Tadeusz Kocowicz, lekarz weterynarii zginął w Katyniu.

Największy wywóz był 13 IV 1940 r. Wywiezieni zostali wtedy m.in.: Krystyna Zdunek, córka policjanta z całą rodziną, (jej starszego brata w związku z powstaniem czortkowskim zamknęli i od tej pory nie było wiadomości,) Kazimiera Wojtyńska-moja koleżanka szkolna, jej matka Józefa Wojtyńska i jej młodszy brat; Barbara Krzemińska, córka kapitana koleżanka ze szkoły; Nakoniecznikoff- jego ojciec był pułkownikiem, (był kulawy), Kruszelnicka- córka policjanta.

Gdy w 1939 r. Polacy uciekali z Warszawy, to zajęli u nas pokój od ulicy. Jak przyszli Ruscy, to znowu zajęli nam mieszkanie. Był jeden plus-mieszkał u nas felczer ruski, Sybirak. Ojciec się z nim zaprzyjaźnił, a on nam leki dawał, pomagał.

Pisałam do koleżanek na zesłaniu. Nie było cenzury, bo były pisane wiersze na Stalina i to przeszło, aż ja się bałam, bo to było niebezpieczne. Dwie zostały zesłane do K<sup>a</sup>chstanu, do Semipałatyńska. Wysyłałyśmy im paczki-koleżanki-zbierałyśmy się i robiłyśmy paczki: mydło, jakaś mąka, kasza, ale chleb nie.

Ojciec w tym czasie słuchał trochę radia zagranicznego. Dziadek miał radio, jak Ruscy przyszli, to on schował je gdzieś do budy.

Gdy 22 VII 1941 r. wybuchła wojna dało się zauważyć w Czortkowie większy ruch wojsk w tę i w tę stronę. Było wiadomo, że coś się dzieje. 2 VII nagle ludzie z miasta lecą i mówią: "Słuchajcie nasi księża zostali wymordowani". Część księży została zamordowana w klasztorze, a część wyprowadzono za miasto nad rzekę Seret i tam zastrzelono.

Ci co się dowiedzieli, poszli tam z narażeniem życia. Później się dowiedziałam, że Ruscy mówili, żeby ciała zaraz pochować, bo wrzucą je do rzeki. Ludzie skombinowali jakieś paki- mówiono, że 2, okazało się że 4 i do tych pak złożyli ciała okryte w prześcieradła i pochowali trochę wyżej, bo tam rzeka podmywała. Ciała ich leżały obok siebie. Zostali zastrzeleni strzałem w tył głowy, a ksiądz O. Jacek Misiuta leżał niżej, bliżej wody. Wyglądało, jakby chciał się ratować, napić wody- nę zginął więc od razu.

W tym czasie do chwili wkroczenia Niemców Sowieci strzelali do ludzi na ulicy. Zastrzelili m.in. mojego profesora Niedźwieckiego- Ukraińca, który uczył mnie w polskim gimnazjum przedmiotów ścisłych.

Niemcy dla nas byli w 1941 r. wybawicielami, w cudzysłowie może, ale byli. Weszli bardzo elegancy, ładnie ubrani, bardzo czysti, zachowywali się bardzo grzecznie. Chcieli pokazać, kim oni są- co ci, a co ci.

Gdy Niemcy wkraczali klasztor się palił, a kościół był zamknięty. Niemcy weszli do klasztoru- ugasili, weszli też do kościoła i odminowali go, bo Ruscy podłożyli pod ołtarzem minę. Niemcy otworzyli kościół, ludzie szli patrzeć, co się działo. Nie byłam jedną z tych pierwszych, ale jedną z wielu- szedł nas tłum. Poszliśmy pod główny ołtarz i uklękneliśmy- tabernakulum było rozbite. Mówili, że komunikanty były wysypane, ale jak ja byłam, już ich nie było, bo podobno jakiś młodzieniec pozbiierał te komunikanty. On później poszedł na księdza.

Od głównego ołtarza poszliśmy w prawo do zakrystii. Tam był widok okropny. Wszystkie szaty liturgiczne były powywracane- w ogóle bałagan niesamowity. Poszliśmy dalej do klasztoru na górę, po schodach. Słychać było trzask palonego drzewa, nie można było jeszcze wszystkiego ugasić. Do 1941 r. w klasztorze na parterze mieszkało wojsko sowieckie, a na pierwszym piętrze mieszkali księża. Jak weszłam, zobaczyłam na podłodze skurczonego i zwiniętego w kłębek kościelnego Józefa Wincentowicza garbusa, który mieszkał tam z braćmi. Poszliśmy dalej. Nigdy tego nie

zapomnę. Ksiądz leżał na łóżku, usta miał otwarte, język wyłożony, **Siny**, noga odkryta, szerniała krew-był to chyba O. Hieronim-staruszek. Tam dalej jeszcze leżeli inni na łóżkach. Nie mogli uciekać-  
napadli ich i postrzelali.

W kościele zginęły 4 osoby i nad brzegiem 4 osoby.

Spośród księży uratował się mój ksiądz profesor z gimnazjum, który nie był dominikaninem. On nie mieszkał z dominikanami, mieszkał osobno przy ulicy Cichej. Zawsze odprawiał mszę świętą pierwszy. Gdy szedł do kościoła, ludzie go zawrócili, mówiąc, że kościół jest zamknięty, pali się, a księża pomordowani. <sup>w</sup>Zarócił więc i schronił się. Gdy później po otwarciu kościoła znalazł się przy głównym ołtarzu, to podobno klęczał i płakał, mówiąc, że on nie był godzien ponieść takiego męczeństwa. Do Czortkowa przyjechał O. Urban, O. Mateusz, ksiądz Szetelnicki i urządzili pogrzeb, pomordowanych w kościele. Na pogrzeb nam gimnazjalistkom kazali przyjść w granatowych spódniczkach i białych bluzkach, miałyśmy liście w rękach. Była cała procesja. Pochowali ich w kaplicy na cmentarzu. Była to duża uroczystość-wspólna, solidarnościowa, byli Ukraińcy, był nawet, zdaje się, rabin. Były tam tłumy Polaków-Niemcy pozwolili.

Dowiedzieliśmy, że Niemcy otworzyli więzienie. Znowu wszyscy poszliśmy. Jedni szli patrzeć, czy <sup>ma</sup>nie tam kogoś z rodziny, inni z ciekawości. Więzienie było niedaleko sądów, przy bocznej Mickiewicza. Weszliśmy na podwórze. Ludzie mówili, że była w kanale krew, ale ja sobie nie przypominam. Przez okno zajrzałam do jednej z cel. Była ona pełna trupów, od podłogi aż do sufitu. Wrażenie wielkie- nie widziałam twarzy, tylko sterczące nogi. Byli tam wszyscy i Polacy, i Ukraińcy, i Żydzi, którzy się Ruskim nie podobali. Rozpoznano tam m.in. bardzo ładną Ukrainkę, która miała długie, do ziemi, warkocze, -właśnie po tych warkoczach. Dalej już nie chodziłam. Straszny odór szedł na miasto. Później urządzili pogrzeby. Wkładali po kilka osób do dużych pak, pomalowanych na brązowo

i powieźli na cmentarz. W pogrzebie, w procesji wszyscy prawie wzięli udział.

Ciała zamordowanych były już w rozkładzie, ale nie sądzę mimo wszystko, żeby mogły w ciągu kilku dni ulec takiej deformacji. To były setki osób, bo więzienie w Czorn<sup>+</sup>owie było bardzo duże. Na cmentarzu przygotowano specjalne mogiły - długie na 6-8 metrów.

Po wycofaniu Ruskich chcieli się Niemcy wszystkim pokazać. Przede wszystkim Ukraińcom zrobili Ukra~~inę~~ - na 3 tygodnie. Pamiętam, że na mojej ulicy mieszkała koleżanka - Ukrainka, która chodziła ze mną do szkoły. Spytałam się wtedy jej, gdy przechodziła koło mnie - "Sławka, gdzie idziesz?" - "A idu" - już po polsku nie odpowiedziała. Niosła wtedy flagę, żeby wywiesić na magistrat. Był wtedy moment euforii u nich.

Ojciec nie miał wrogów wśród Ukraińców i nie został wywieziony, bo zazwyczaj wywozili za to, że np. ktoś był w policji lub w sądzie i sądził komunistów.

Po wkroczeniu Niemców ojciec jako przedwojenny pracownik został powołany przez nich i ponownie zaczął pracować w sądzie.

Ja w pierwszym roku okupacji niemieckiej uczyłam się w szkole handlowej. Nauczano w niej w języku polskim i niemieckim. Poszłam do drugiej klasy, ponieważ tych klas miałam już sporo za sobą. Uczyli tam profesorowie z byłego gimnazjum i gimnazjum kupieckiego, bardzo patriotyczni m.in. prof. Józef Opacki (nasza daleka rodzina). Ta szkoła znajdowała się na ulicy Kolejowej - to była dawna szkoła podstawowa. Dyrektorem tej szkoły był prof. Cicho~~ski~~, który był przed wojną dyrektorem gimnazjum. Profesorowie starali się skupić jakoś tę młodzież, zgarnąć do siebie, zabezpieczyć przed wywiezieniem do Niemiec. Po ukończeniu szkoły z dyplomem handlowca poszłam sprzedawać do sklepu polskiej spółdzielni "Rolnik", gdzie bawiłam się w kartki. "Rolnik" miał 2 czy 3 sklepy m.in. sklep galanteryjny, w k<sup>o</sup> którym później pracowałam. Nie umiałam handlować, narobiłam więc manko. Pracowałam, żeby

się jakoś utrzymać i żebym nie została wywieziona. Byłam nawet na liście, ale Ukraińcy dali znać ojcu, żebym się schowała, bo przyjdą po mnie. To było w 1943 r.

Mieszkaliśmy blisko szkoły. Tu zaraz, koło nas mieszkało bardzo dużo Żydów-to była dzielnica żydowska i tam Niemcy utworzyli getto, a nam kazali się wyprowadzić z własnego mieszkania. Dookoła getta nie było żadnych drutów. W pobliżu było też "Ortskommando".

Pewnego razu-to było latem- około godziny 2 nad ranem-już szarzało usłyszeliśmy nagle straszliwe strzały. Pozrywaliśmy się z łóżek, ojciec kazał kłaść się na ziemię. Przeleżeliśmy jakiś czas. Nie wiadomo co to było, a była to łapanka Żydów. Około godziny 10-11 wszystko się uspokoiło. Wyszłam przed dom, a tam stała lora, platforma, na której leżało pełno Żydów nieżywych-widziałam nóżki dziecięce. Potem poszłam do miasta. Był tam bazar, gdzie dawniej były jatki z mięsem. Pod tymi jatkami leżało też pełno trupów żydowskich. Jeszcze jeden moment był dla mnie bardzo przykry. Idąc koło kościoła, mijałam grupkę Żydów prowadzoną przez Niemców. W niej była koleżanka. Ona się odwróciła do mnie i popatrzyła... Było to w lecie 1942 r.

W nowym miejscu mieszkaliśmy przeszło rok, potem sprowadziliśmy się z powrotem do naszego mieszkania.

Później zaczęły się mordy ukraińskie na Polakach, choć w samym mieście mordów nie było. Był taki wypadek-moja znajoma miała brać ślub (jedno z rodziny polskiej, drugie ukraińskiej) i pojechali na wieś do rodziców. Przywieźli trupy. Pamiętam-ona leżała w welonie na katafalku, a on w czarnym ubraniu. To był ich ślub. Druga koleżanka (Stasia Kulczycka) mieszkała za miastem na Górnej Wygnance. Ponieważ miała akurat na poczcie dyżur, nie była w domu-uniknęła śmierci. Przed samym przyjściem Ruskich drugi raz Ukraińcy zabrali się za miasto. Na mojej ulicy była plebania popa ukraińskiego-tam się zbierały bojówki ukraińskie. Mieli plan Czortkowa, na którym każdy polski dom

był zaznaczony krzyżykiem. Niemcy wykryli ich i aresztowali. Ludzie z wiosek ,gdzie mordowali, uciekali do miasta. To trwało za Niemców i później za drugich Ruskich. Nasi księża przyjmowali wszystkich uciekinierów-Polaków do siebie, do klasztoru dominikanów. Ludzie, którzy mogli , przyjmowali uciekinierów do siebie. Uciekinierzy z wiosek mieszkali nawet u mojego dziadka. Nasza sytuacja też była niewesoła. W nocy człowiek nie mógł spać. Mama i brat spali, a ja i ojciec staliśmy na czatach. Mieliśmy przy sobie siekierę-w razie czego- i siedzieliśmy na ganku. Ci, co mieszkali u dziadka też dyżurowali. Najgorzej było wtedy, gdy Niemcy uciekali, a Ruscy jeszcze nie wkroczyli. Przez pewien czas było bezkrólewie-to był najgorszy czas. Człowiek siedział i nagle widział, że ktoś idzie na ulicy, na podwórku się kręci-a to był któryś z czatujących z innego domu.

Gdy Niemcy mieli uciekać i cofali się drogą przez Czortków złapali mnie i moją koleżankę, w chwili gdy szłam akurat do pracy, do sklepu. Nie udało mi się uciec, do kościoła. Ale to nie była łapanka do Niemiec. Pod Czortkowem budowali drogę. Tam nas odstawili. Nosiliśmy cegły z cegielni i układaliśmy na bruk. Pracowałyśmy gdzieś do pierwszej. Koleżanka przystanęła na chwilę, a wtedy jeden z pilnujących nas Ukraińców uderzył ją kolbą. Ona przyszła do mnie, a ja poszłam do jednego z Niemców i poprosiłam go , żeby nas puścił. Umiałam trochę po niemiecku, bo przed wojną uczyłam się w gimnazjum. On odpowiedział, że dobrze, tylko chciał, żebyśmy mu wyczyściły szynel. To było upokarzające. Poszłam do jakiejś kobiety, mieszkającej w domu przy szosie i pożyczłam esmatkę- szczotkę rzżową i wyczyściłyśmy płaszcz z błota. Wtedy puścił nas wolno. Trzeba było przejść przez 3 punkty. Na następnym punkcie chcieli nas zatrzymać, ale ten Niemiec zaczął krzyczeć, żeby nas puścili i przepuścili nas. Tak więc Ukraińiec nas bił, a Niemiec nas puścił.

W Czortkowie były 2 gimnazja podziemne, 2 komplety. "Władcą" tej

grupy, z którą ja chodziłam był O. Urban. Prof. Wiśniewski uczył historii, O. Urban uczył mnie łaciny i religii, jednapani uczyła mnie niemieckiego, inny profesor uczył matematyki i fizyki. Naukę prowadzono w prywatnych domach. Łaciny i religii O. Urban nauczał w klasztorze. Musieliśmy zdążyć przed godziną policyjną. Nie wiedzieliśmy, ile osób się uczyło. My chodziłyśmy na zajęcia w trzy osoby. Natomiast na matematyce było nas więcej-9 czy 10 osób. To było robione celowo żebyśmy nie wiedziały za dużo. Chodziłam z Marysią Rosłanowską (obecnie Kosowska) i Stasią Gałęzowską. W trójkę też zdawałyśmy maturę. Ja pracowałam wtedy, tak więc ,żeby się przygotować, musiałam uczyć się po nocach. Na pewien czas nauka była przerwana, bo były aresztowania w Tarnopolu.-ktoś się wygadał ,zdradził.

Moja kuzynka chodziła natomiast do innego gimnazjum, gdzie m.in. uczyła Maria Wasylina.

Nauka u nas trwała jeszcze w 1945 r. Zdawałam maturę w 1945 r. ( w sierpniu) choć na świadectwie napisano mi 1944 r.-że to było jeszcze za Niemców. Pamiętam, że przewodniczącym komisji był O. Urban. Wiem, że pisałam z tematu o "Panu Tadeuszu". Kończyłam gimnazjum humanistyczne, więc na maturze zdawałam jeszcze język niemiecki, a koleżanki matematykę.

Jak Rusczy przyszedli, to utworzono przy Związku Patriotów Polskich szkołę polską. Ja miałam czwórke z łaciny, choć O. Urban mówił mi, że mnie skrzywdził, bo umiałam na piątkę-zostałam więc wydelegowana do uczenia łaciny. Ta szkoła uczyła na poziomie pierwszej klasy gimnazjalnej. Kierowała tą szkołą Janina Sawicka. Chodziło tam kilkanaście osób w różnym wieku 14-18 lat. Szkoła ZPP mieściła się w budynku szkoły handlowej.

Powtórne wkroczenie Armii Czerwonej wyglądało zupełnie inaczej. Przejżdżali jako nasi przyjaciele-przynajmniej tak mówili. Zaraz zaczęli brać do wojska. Powoływali moje koleżanki. Wśród dziewcząt



najmłodszym rocznikiem ,który szedł był rocznik 25, u mężczyzn 26. Raz przyszli po mnie Ruscy- nie przyjąłem, uciekłem, drugi raz nie złapali mnie, trzeci raz też nie złapali, ale powiedzieli wtedy rodzicom, że jak mnie nie będzie, to będzie dezercja i będą rodzice odpowiadać. W końcu trudno- z płaczem i żalem- poszłam do tej komisji. Spłakana pożegnałam się z rodzicami. Na tej komisji zaczęłam kręcić. Poszłam z wujkiem (grał wtedy w orkiestrze, która przygrywała wszystkim poborowym) do lekarza ukraińskiego, jego znajomego. Wujek powiedział mu: "Słuchaj moja siostrzenica idzie do wojska, ona jest chora, daj świadectwo"- "Co jej jest?". Powiedziałam, że mam coś z oczami.- "To z płaczu"- odpadło. Pokazałam mu chore nogi- "To dobre" powiedział i dał zaświadczenie. Poszłam- dali mi na gazecie zaświadczenie- "oswobodzona". Wróciłam do domu, to co miałam z prowiantu na drogę było na bal w domu.

Za Ruskich pracowałam w tzw. "Miśkinwidie"- tj. taki urząd skarbowy jako sekretarka. Było tam dużo Ukraińców, a naczelnikiem był Rosjanin z głębi Rosji. Były tam przydzielane m.in. kartki żywnościowe. Przez te kartki bałam się, że mnie zamkną, dlatego stamtąd uciekłam. Ten nasz naczelnik był wielkim partyjnym w Komitecie. Jak pobierał tam kartki, to nie mógł u nas pobierać. A ja wiem, że on brał tam i tu mu wydawałam. Jak ja mu mogłam powiedzieć- czy on mnie posłucha? W końcu powiedziałam sobie dość- ja was wszystkich mam dosyć i zostawiłam to. Nie puścili mnie, więc przyniosłam zaświadczenie na wyjazd. Na podstawie tego mnie zwolnili. Ale ja jeszcze przez rok byłam. Za to przychodzili do nas do domu i pytali się: "Koły ujeżdżajecie, koły ujeżdżajecie?". Wyrzucali nas z domu.

Myśmy sprzedawali wtedy rzeczy na mieście. Ojciec chodził z wózkiem i handlował. Ojciec mówił często: "To jest moja ojcowizna, ja się nie ruszę". My młodzi chcieliśmy jechać, bo przed nami świat, jeszcze coś nowego. Matka przekonywała ojca, że dzieci muszą się uczyć, co będą tutaj robić. Efekt był taki, że wyjechaliśmy ostatnim transportem.

18 V 1946 r. Po nas był jeszcze jeden transport, w którym wyjechali księża.

Ojciec ociągał się z wyjazdem, mówił: "tym transportem jeszcze nie, tym jeszcze nie". Propaganda była taka i atmosfera taka, że zachęcała do wyjazdu. U nas była taka historia - może na Wileńszczyźnie było inaczej - że u nas sami Polacy uciekali ze względu na Ukraińców. Ta sytuacja pomagała Ruskim. Dużo Polaków było, którzy wyjechali już w 1945 r., <sup>gdzie</sup> jeszcze front był - ratowali życie.

W sobotę 18 V 1946 r. załadowaliśmy się do wyjazdu. 2 dni siedzieliśmy na dworcu. Potem podstawili nam wagony. Na drugi dzień się załadowaliśmy do nich. Pociąg ruszył na zachód dopiero w poniedziałek 20 V o godzinie 11. W niedzielę byliśmy jeszcze w kościele. O. Urban przyszedł na stację nas żegnać, błogosławił nas i dał obrazek z Matką Boską Jazłowiecką na drogę. W transporcie było kilkanaście wagonów. Myśmy w wagonie ~~nie~~ wieźli np. kozę. Ojciec kupił kozę, bo trzeba było z czegoś żyć. Mama chodziła ją paść, ja też czasami. To był taki symbol okupacji. Było dzięki temu choć trochę mleka na drogę. Nie lubiłam go, było niedobre, śmierdzące.

W wagonie było nas 4 rodziny. Z nami jechał m.in. staruszek p. Banach którym się opiekowaliśmy.

Gdy transport ruszył zaśpiewaliśmy "Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród..." oraz "Pod Twoją obronę...". Dzień wcześniej był deszcz i zmoczył nasze rzeczy w wagonie, bo dach był nieszczelny, nie pomogło nawet położenie na dach stolnicy. A w dzień odjazdu - piękny maj, jary cudowne, słoneczko świeci - piękny dzień, a my wszyscy w płacz... Myśmy śpiewali i płakali. Ci co zostali też płakali.

Dojechaliśmy do Tarnopola na noc. Przed odjazdem mówili nam, żebyśmy się dobrze zamykali na noc, bo napadają. I faktycznie. Dach nie był zbyt dobry, ale drzwi dobre. Kolbami ktoś walił, my cichutko siedzieliśmy. Nie zdołali odsunąć drzwi. To byli prawdopodobnie żołnierze ruscy.

Nie jechaliśmy długo. Niektórzy na jesieni 1945 r. jechali 2-3 tygodnie. Pod Lwowem, w Janowie dołączyli do nas drugi transport, z tym że oni jechali w niskich lorach. Na granicy była kontrola. Ja miałam dokumenty m.in kupę zdjęć, które dał mi ksiądz Urban spodziewając się, że księży będą więcej kontrolować. Przychodził żołnierz i pikę badał, czy ktoś się nie ukrywa. Tak właśnie przejechał granicę prof. Opacki który był tam bardzo tropiony.

Przejechaliśmy granicę i zatrzymaliśmy się w Mikulczycach. Tam trzeba się było przeładowywać na wąskie tory. Ciekawe było pierwsze spotkanie z miejscowymi Polakami. Okazało się jak nasi Polacy potrafia wykorzystywać cudzą biedę. Polscy żołnierze wymieniali nam ruble na złote i tak nas kantowali, jak tylko mogli. To było przykre. Dawali nam dużo mniej, niż później w Krakowie. Tyle, że to był polski żołnierz, więc już inaczej na to patrzyliśmy. Przez całą drogę aż do miejsca przeznaczenia konwojował nas ktoś z ZPP.

Gdy przejechaliśmy przez Odrę moja mama powiedziała: "Jezus Maria gdzie nas wiozą!" - dla człowieka ze wschodu Odra to już dawno Niemcy. Zatrzymaliśmy się w Opolu - nie ma miejsca. PUR nas nie przyjął. Jedziemy przez Środę, zajechaliśmy do Legnicy - nie przyjęli nas. Wcześniej byliśmy w Nysie, nie przyjęli nas. Z Legnicy nascofnęli do Brochowa pod Wrocławiem. Tam było dużo Czortkowiaków. Mówili nam: "Zostańcie, zostańcie to tu się jakoś pomieścimy". Dobrze, ale nam powiedzieli, że jak wysiedziemy na własną rękę, to nam nie dadzą mieszkania. Mówili nam, że pojedziemy do Szczecina. Ludzie na to "nie". <sup>o</sup>Przejechaliśmy z powrotem do Środy - tam nas przyjęli. Ale myśmy nie chcieli wysiadać, bo gdzie jest ta Środa? Od stacji było 4 km do miasta. Odstawili nas na boczny tor. Przestaliśmy tam całą noc, komary nas obsiadły - więc wysiadamy. Kazali nam wysiąść, bo wagony były im potrzebne. Zebrała się delegacja która miała się popatrzeć na tę Środę. Poszliśmy oglądać tę Środę. Ładne miasteczko, czyściutkie, nie zniszczone. Byli tam jeszcze Niemcy.

W końcu pomyśleliśmy, ile będziemy się tułać-to była wielka mordęga, a to był już czerwiec.

Ulokowali nas ~~wszystkich~~ w gimnazjum. Każdy miał swoją klasę. Wychodziło się na korytarz, do kranu. To było wesołe życie, ale nie na dłuższą metę. My z mamą pojechałyśmy do Krakowa, bo tam byli rodzice mojej mamy. Myśleliśmy, że może tam się zatrzymamy, ale tam był już mój wujek z Łucka i nie było miejsca. Wróciliśmy więc i zostaliśmy. Nie osiedlaliśmy się tutaj na długo-mój ojciec mówił: "Pół roku, więcej tu nie będziemy i wracamy do Czortkowa".

W Środzie na początku był taki miły akcent-jak już zaczęliśmy szukać mieszkania-przyszedł do nas ksiądz proboszcz Kij, ze Stryja, kapelan wojskowy. On wszystkich repatriantów witał-też był ze wschodu i mówił, żebyśmy pozostali, że się razem zorganizujemy, że nam będzie dobrze. Tak nas trochę przygarnął. Chodził z nami i szukał mieszkania, Ojciec mówił: "Ja nie potrzebuję niczyich łachów, ja idę do pustego" Znaleźliśmy mieszkanie po Ruskich-tam był tylko stół, bo był za duży i nie mogli go wynieść. Wprowadziliśmy się do tego mieszkania. Ojciec krzyczał na nas "żaden szaber, za pół roku wracamy". Z Czortkowa przywieźliśmy otomanę, pianino musieliśmy sprzedać przed wyjazdem jakiejś Rosjance za metr żytniej mąki, która nam w końcu i tak spleśniała. Na drogę kupiliśmy wędlinę oraz wódkę. Przydała się, bo gdy jechaliśmy, co chwilę pociąg stawał i jeden z repatriantów szedł i zbierał "na wódkę".

W Środzie PUR robił na UNRRAówskich paczkach ~~zupy~~ zupy, na które chodziliśmy-były pierwszorzędne.

*Wywiad przeprowadził, relacja opisał  
Gregor Hryciuk*

*P. Kocubik przede mną w 1947 roku. Wtedy był w Czortkowie i opisał mi to, co się tam działo w 1944 roku. Wtedy był w Czortkowie i opisał mi to, co się tam działo w 1944 roku. Wtedy był w Czortkowie i opisał mi to, co się tam działo w 1944 roku.*